№ 50 Piątek, dnia 10 Września 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE

Tygodnik

WARSZAWA dnia 29 Sierpnia (10 Września) 1875 r.	„OGNISKO DOMOWE” wychodzi w każdy piątek. CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38. „ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.	REDAKCYA przy ulicy Ś-to Jerskiej Nr. 1769b. (nowy 12) róg Nowiniarskiej.

NA MYLNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA.

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz w Numer 49).

— Ale owszem, z największą gotowością, jestem na wasze usługi, w tej chwili nie umiem wskazać nikogo w szczególności, ale dziś jest raut u prezesowej N., będę tam rozpytam się i natychmiast jutro dam Wam wiedzieć. Kuzynka może być pewną najzupełniej, że zrobię wszystko, co się da tylko zrobić dla Wandeczki kochanej, jak dla synowicy nieodżałowanej pamięci męża mego, mam przecież święte obowiązki i kocham ją już jak własne dziecko i mówiąc to, senatorowa wyciągnęła rękę do Wandy, która pochyliła się w objęcia stryjenki i serdecznie ją uścisnęła.

— Nam też tu głównie chodzi o trafny wybór nauczyciela muzyki dla Wandy — powiedziała jeszcze pani Gasztoldowa.

— Jest tu ich kilku znakomitych fortepianistów, ale którego wybrać niewiem. Jednakże wynajdziemy łatwo dobrego nauczyciela, niech kuzyna już będzie zupełnie oto spokojną i pewną że niezaniedbam tego, ale wprzód mały położę warunek.

— A to jaki?

— Oto żebyś kuzynka nie broniła czasem zabawić się panienkom, dla młodych to konieczne, o polor światowy starać się potrzeba, bo bez tego kobiecie i nauka nie da powabu.

— Ależ zaręczam że ja nic nie mam przeciw temu, już są w tym wieku że bawić się mogą byle w sposób nie szkodliwy na późniejsze usposobienie i byle w zabawie miary nie przebrać.

— Otóż to co się nazywa mówić rozumnie, zawołała uradowana senatorowa, zabawa i towarzystwo dla młodej panienki w tym wieku, jest rzeczą niezbędną, byle zabawa i towarzystwo były przyzwoite, mówiła potakując pani Gasztoldowej senatorowa; chodziło jej o przełamanie pierwszego oporu opiekunki swojej synowicy, dla której już snuły jej się różne projekta po głowie. Anna wyszła na chwilę, a wkrótce wniesiono tacę pełną rozmaitych miejskich przysmaków, były tam i makaroniki domowej roboty, smażone jagody i owoce, śliwki, migdałami i anyżkiem nadziewane, orzechy i miód do nich, prawdziwy lipiec aromatyczny i biały—i tym podobne łakocie jakich w Warszawie i za grube pieniądze nie dostać, chyba w jakiemś sparodjowanem naśladowaniu.

Pani Gasztoldowa do wszystkich miejskich zwyczajów łatwiej się zastosować potrafiła, ale do tego, ażeby gościa przyjąć na sucho i uczęstować go tylko rozmową, w żaden sposób przyzwyczaić się tem bardziej zrozumieć tego nie umiała; więc gościnnie zapraszała senatorowę aby raczyła czem się posilić. Senatorowa jak wszyscy, co pędzą życie bezczynne, była trochę łakomą, niekazała się wielce prosić i zabrała się z gustem do jedzenia.

— Przewyborne—doskonałe—mówiła nakładając sobie powtórnie na talerzyk, jakie też to życie wygodne na wsi mieć można, u nas w mieście wszystkie wygody tak wiele kosztują, a to co nam z produktów potrzebnych do życia dają, pięknie wprawdzie z pozoru wygląda, a w smaku cóż za różnica!

— Sądzę, powiedziała pani Gasztoldowa, że wiele rzeczy z tych co się tu kupuje, a które nieodbicie do życia są potrzebne, można byłoby mieć w domu zrobione.

— A to jakim sposobem? to już zupełnie niepodobnem byłoby.

— Owszem, ja znajduję że bardzo łatwo to by się zrobić dało, wszakże każdy produkt surowy, chociaż może drożej cokolwiek, ale w doborowym gatunku dostać można a cóż prostszego jak go przyrządzić wedle potrzeby i woli u siebie.

— Ależ nikt tu u nas nie ma wyobrażenia jak się wziąć do tego.

— To już kwestya dobrej woli, odpowiedziała uśmiechając się pani Gasztoldowa, nauczyć się bardzo łatwo, wszakże przepisy i wskazówki można mieć zawsze pod ręką.

— Kobieta w mieście nie mogłaby się zająć takiemi rzeczami, to wymaga zupełnego oddania się i zbyt wiele czasu.

— Zupełnego oddania się nie wymaga wcale, co zaś do czasu — jeżeli kobietom na wsi wystarcza czasu na tego rodzaju zajęcia, dlaczegóż w mieście wystarczyćby go nie miało!

— To rzecz zupełnie inna, wy tam na wsi czasu macie do zbytku i rozporządzacie nim swobodnie — my zaś mamy do wypełniania obowiązki, których zaniedbać nie podobna, obowiązki towarzyskie, które cały czas pochłaniają a tak ciężkiej pracy wymagają że nie wiem często, jak mi już sił do ich spełnienia wystarcza—oto i dziś tak strudzona do was przyjechałam, że z trudnością weszłam na wschody; wyjechałam o dwunastej z domu i dotąd jedenaście wizyt zrobiłam, wracam do domu, i czy myślicie że na spoczynek? gdzież tam! muszę jeszcze stąd prosto pojechać do Kwiatkowskiego i zamówić sobie toaletę na bal do zamku, a potrzeba się będzie dobrze zastanowić w jaki sposób ją zrobić, bo to rzecz ważna, cały piękny świat wybiera się na ten bal, toalety będą przepyszne, i ja więc muszę z godnością wystąpić i nie dać się innym zawstydzić, tak nakazuje obowiązek poszanowania samej siebie i swego stanowiska. Ach! nieuwierzycie ile to życie ciężkich trudów i kłopotów jest pełne!—dodała z przejęciem i ciężkiem westchnieniem senatorowa. Pani Gasztoldowa z trudnością powstrzymała uśmiech, który jej się na usta wymykał.

— Pocóż kuzynka tak się zbytecznie zamęcza, czy nie można byłoby tych wizyt dzisiejszych połowę na jutro odłożyć?

— A zmiłujże się—niepodobna, i tak mam już ich wiele zaległych, cóż robić, ciężko to prawda, często mi i siły ustają, ale rozminąć się z należną formą grzeczności nie ma podobieństwa, wszakże i ojcowie nasi niegdyś mawiali—szanuj ludzi i ludzie cię uszanują.

Pani Gasztoldowa chciała przypomnieć że nasi ojcowie powtarzając to stare przysłowie nie do blichtru konwenansowego je stosowali, że miewali wtedy na myśli poszanowanie zasługi człowieka, nie zaś złotem lśniącego jego salonu; ale spojrzała na senatorowę, a ta widocznie z takiem głębokiem przekonaniem wymówiła te ostatnie słowa, że chcieć zmienić jej widzenie rzeczy, byłoby to tylko próżnem usiłowaniem.

Senatorowa spojrzała na zegarek.

— Ach mój Boże!—zawołała mocno zafrasowana, mnie tu u was tak przyjemnie, zagawędziłam się, a tu już piąta, narada u Kwiatkowskiego zajmie mi co najmniej półtorej godziny, potem do domu na obiad, zaraz po obiedzie muszę się zacząć ubierać, a około dziesiątej na raut do prezesowej — nie wiem doprawdy, jak potrafię się uwinąć z tem wszystkiem i dać sobie radę tak ażeby mi czasu starczyło. Otóż jak widzicie, każdy dzień mam tak samo zajęty, ani chwili wypoczynku pozwolić sobie nie mogę. To mówiąc, senatorowa pożegnała się spiesznie, a wsiadając do karety kazała co prędzej jechać do magazynów pod filarami na Miodowej ulicy.

— Moja mamo powiedz mi proszę, zapytała Anna po odjeździe senatorowej, czyż pani senatorowa może być istotnie przekonaną, że życie prowadzi pracowite?

— Zaręczyć cię mogę, moje dziecko, że ona

w to najmocniej wierzy, że i sumienie w tym względzie nic jej nie wyrzuca.

— Ależ to jakieś niepojęte zaślepienie, jakże może nie czuć tego, że życie takie, którego jedynym celem i treścią jest zabawa ani pracowitem, ani pożytecznem nazwać się nie może.

— Istotnie, zaślepienie takie jest nie pojętem dla tych co przywykli zapatrywać się na życie na seryo, poważnie, co chcą widzieć w człowieku członka społeczeństwa i domagają się od niego, ażeby nieustannie niósł swoję pracę ku ogólnemu, wspólnemu dobru, ale tacy, jak senatorowa, co od dziecka wzrośli wśród sztucznego życia, czczych zabaw i rozrywek, nie czują nawet że są pasożytami swego społeczeństwa i jak ona nazywają pracą, utrudzenie marnego szału; a przy takiem ich usposobieniu, jakże można żądać, ażeby doszli do tego przekonania, że nie praca człowieka uszlachetnia ale jej cel.

— Ale o czemże to Wandzia moja tak się zamyśliła?

— Myślę cióciu kochana o tem, że jak dzieci co z chęcią gotowe oddać całą treść książki za pięknie malowaną okładkę, sądząc że w niej cała wartość dzieła się zawiera, tak i stryjenka zadawala się błyskotkami oprawy swojego stanowiska, o które tyle innych dobijałoby się z takiem upragnieniem, nie dla tej oprawy wszakże.

— Czy sądzisz moje dziecko, że jej stanowisko tak wiele poważnej treści zawiera?

— To zależy od tych co na niem stoją, a każdemu daje ono już nieograniczonej siły przywilej, a tym jest swoboda działania.

— Każde stanowisko daje człowiekowi swobodę działania w zakresie właściwym temuż stanowisku.

— Nie przeczę, ale nie każdy zakres działania jednakiej jest siły, a wpływy ich nie równe na ustrój ogólny.

— Ustrój ogólny podlega pewnym prawom w moc których, wszystko co tę cudowną całość stanowi ma swoje w nim miejsce raz wskazane i na nim działać jest obowiązane; zmieniać tego miejsca nie może, pod zagrożeniem rozprzężenia ogólnego; jak w maszyneryi jakiejś ani jednego kółka wyrzucić nie można bez wprowadzenia rozstroju w ogólnym ruchu, tak też i w systemie całego świata, każda, nawet najmniej na pozór znacząca działalność równie jest konieczną, równie niezbędną, by ten ustrój ogólny w porządku i silnej budowie utrzymać.

— Ale ciocia przyzna jednak że są w świecie stanowiska więcej lub mniej wpływowe.

— Nie myślę temu zaprzeczać bezwarunkowo, ale zechciej mnie uwierzyć, że wpływy na społeczeństwo nie zawsze te są najsilniejsze co ze świetnych stanowisk pochodzą; działalność cicha, skromna, nie bijąca w oczy w wielu razach przeważniej stanowi o losach ogółu niż to co z widowni świata w oczy się rzuca z efektem.

— Ależ cióciu droga, ruch ogólny zależy wszakże od tych co u jego steru stoją.

— Nie moje dziecko, ruch ogólny nie zależy od tych co stojąc na widowni, piękne teorye głoszą, ale raczej od tych co te teorye w praktykę zamieniają, gdy ci ręce opuszczą i działać przestaną, wtenczas najbardziej genialna teorya owocu nie wyda.

— A przecież im umysł jest silniejszym, im duch potężniejszym się czuje, tym silniej się domaga szerszego pola, tym mu nieznośniej w ciasnym obrębie zwyczajnego życia, widocznie jakiś tajemniczy instynkt mu wskazuje że powinien stanąć wyżej i dalej sięgać.

— Potrzebaby dobrze zbadać pierwej, czy to co nazywasz tajemniczym instynktem, nie jest raczej tylko grą wyobraźni, bardzo to naturalnie że umysł czynny, duch silny, domagają się działalności, ale ta działalność w miarę ich siły będzie potężną i wpływową, wtedy tylko, kiedy człowiek rozumem i wolą utrzymać je potrafi w zakresie właściwym swemu stanowisku.

— Ach cióciu moja! możnaż polot myśli i ducha tak łatwo zakuć w kajdany prywatnego życia? — zawołała Wanda z gorącem uniesieniem.

— A więc doszłyśmy nakoniec do głównego słowa naszej rozmowy, — mówiła smutno pani Gasztoldowa, z bólem to widzę od dawna, że ty dziecię moje, czując w sobie myśl szerszą i charakter energiczny, gardzisz życiem prywatnem, uważając je za zbyt poziome pole dla działalności wyższego umysłu; jak się to dzieje, nie wiem, że ty obdarzona tak bystrem pojęciem, nie zdołałaś dotąd ocenić całej ważności stanowiska kobiety w społeczeństwie; że nie czujesz tego iż życie prywatne, publicznemu za podstawę służy i cały kierunek publicznego życia od prywatnego zależy. Nieraz pytam własnego sumienia, czy słowem i przykładem nie za mało cię o tem przekonać usiłowałam. Za nadto szlachetnie czujesz, a Bóg cię obdarzył umysłem dość bystrym na to, ażebyś kiedyś przejrzeć jasno w tej mierze nie miała; pewną jestem, że prędzej czy później przyjdzie chwila kiedy pochylisz głowę przed szczytną powagą stanowiska kobiety w życiu prywatnem i zrozumiesz potęgę jej działalności w tym zakresie, który dziś za szczupły ci się wydaje. Oby tylko nie za późno Bóg ci pozwolił prawdę ujrzeć dodała pani Gasztoldowa i opuściwszy głowę na piersi zamyśliła się smutno.

Wanda nie przeczyła już więcej, ale ironiczny uśmieszek, który zarysował się na jej usteczkach, dowodził, że umilkła tylko dlatego ażeby nie dręczyć opozycyą ciotki. Nie dziwiło ją to że pani Gasztoldowa pojęcia miała, jak jej się zdawało, zacofane, bo i jakże—myślała sobie—mogły sięgać wyżej, jeżeli całe życie przeszło wśród zaciszy domowej na wsi, wśród marnej krzątaniny około potrzeb życia. Wanda była przekonaną, że pani Gasztoldowa podnosi życie prywatne do potęgi dla tego jedynie, że większa część życia przeszła w tej epoce kiedy wyobrażenia ogólne niedozwalały kobiecie ani myślą nawet wychylać się poza jego obręb. Czuła najwyższą cześć i uznnie dla postępowych idei, w skutek których kobiety zaczynały już marzyć o reformach a śmielsze wyrywać się na widownią publiczną.

* * *

W parę dni potem, pani Gasztoldowa otrzymała list tej treści:

Wielmożna Mościa Dobrodziejko!

W domu J. W. Senatorowej Krasnopolskiej, miałam zaszczyt usłyszeć siostrzenicę Wielmożnej Dobrodziejki, pannę Krasnopolską grającą na fortepianie i w grze jej dostrzegłem olbrzymie błyski genialnego talentu. Pomimo że postanowiłem już wypoczać po trudach nauczycielstwa, jednakże mocą namiętnego zamiłowania w muzyce nie mogę oprzeć się chęci jaka mnie ogarnęła, ażebym sam mógł pokierować tym młodym jeszcze, a tyle obiecującym talentem.

Chciej W. Pani Dobrodziejko wybaczyć staremu melomanowi dziwaczną śmiałość z jaką ślę prośbę, ażebyś, raczyła powierzyć mi dalsze kształcenie tych niepospolitych zdolności. Za trud mój aż nadto wynagrodzonym będę, jeżeli potrafię przysposobić krajowi i sztuce nową artystkę, która rokuje być kiedyś niepospolitą. Chciej Wielmożna Pani Dobrodziejko przyjąć przytem wyrazy szacunku z jakim zostaje najniższy Jej sługa.

E....r.

Łatwo sobie przedstawić z jaką wdzięcznością przyjęto propozycyą znakomitego artysty i kompozytora. Senatorowa jako więcej znajoma, wyręczając panią Gasztoldową sama pojechała do mieszkania E.....ra, ażeby mu podziękować i umówić się o warunki, ale staruszek z góry zapowiedział że o żadnem pie-

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

Milion!!!—talizmaniczne i czarodziejskie to słowko, zwłaszcza dla tych u których jedyną skalą wartości człowieka, tak pod względem realnym jako i duchowym jest rubel. Dlatemogo też, tak licznie mnożą się u nas kramy w których za opłatą miesięczną sprzedaje się nadzieja zdobycia milionów. Jednakże, aby otworzyć podobny kram, zwłaszcza w Warszawie i w oknach wystawy sklepowej założyć odpowiednią wędkę, na tych, którym nadzieja zwykła bywać matką i z ich łatwowierności wyzwskiwać miliony, trzeba samemu zaopatrzyć się w odpowiednie ku temu narzędzia, tym więcej, że jeszcze mądry Król Salomon nauczał: że z próżnego worka nawet fałszywego fenika nie wyciągnie. Otóż w zastosowaniu się do tej teoryi, trzech wyrostków z plemienia czcicieli złotego cielca na puszczy, rozwinęli polowanie za Żelazną Bramą nietylko po kieszeniach przybywających na targi z produktami włościanek, ale w ogóle na to wszystko co tylko przedstawia jakąkolwiek wartość pieniężną jak: chustki, koszyki, półkwarcia i t. p. niepogardzając niczem w ogóle. Zdaje się iż tym myśliwcom chodzi o zebranie odpowiedniej kwoty, którąby można bezpiecznie na fantach lokować, jako jedynym geszefcie najłatwiej prowadzącym do nabycia upragnionych tak gorąco milionów. Jeśli zatem czujność agentów policyjnych nie umieści zawczasu owych kandydatów na pseudo-milionerów w Osadach dla małoletnich przestępców, to wedle tej manipulacyi jako Szydłownicy Bankierzy, poczną na większą skalę operować w okolicach Banku, następnie za opłatą kilu rubli na miesiąc sprzedawać nadzieję mających się wygrać milionów, a w końcu jako jasne pany rozbijać bruk po Warszawie.

W tych dniach Tryhunał Handlowy rozpoznawał jednę z rzadkich u nas dotychczas spraw—dotyczącą własności literackiej. Znany poeta i literat pan Władysław Anczyc wystąpił przeciwko dyrektorom trupy artystów dramatycznych w teatrzyku Eldorado pp. Tekslowi i Choromańskiemu o honoraryum za przekład operety p. n. *Księżniczka Trebizondy* i operetki *Jaś płacze Joasia się śmieje* których użyto bez poprzedniego porozumienia się z tłómaczem. Trybunał Handlowy uznał słuszność żądania pana Anczyca i ograniczywszy jedynie wysokość wymaganego przezeń wynagrodzennia skazał pp. Teksla i Choromańskiego na zapłacenie powodowi sumy rs. 150. Nie przywodzimy tu zasad, na jakich obrońcy obu stron żądania swoje opierali, wstrzymujemy się również z wypowie-

nięznem wynagrodzeniu słuchać niechce bo by go to upokorzyło; sam się narzucił i łaskę mu zrobią jeżeli tej jego chęci zadość uczynią.

Odtąd zaczęły się lekcye muzyki a za niemi poszły i inne. Anna uczyła się rysunku, ku czemu okazywała zdolność i zamiłowanie; obie zaczęły brać lekcye literatury krajowej i zagranicznej wykładane im przez jednego z bardziej znakomitych profesorów Warszawskiego uniwersytetu. Profesor ten, sam utalentowany literat, odkrył w otwartej głowie Wandy niepospolite materyały, a że to był człowiek poważny i sumienny, miłujący swoję społeczność i nieustannę pracę swoję ku ogólnemu dobru poświęcający, postanowił te materyały o ile można najszerzej rozwinąć, by nie zjałowiały marnie.

Pomoc taka i przewodnictwo były niesłychanej doniosłości dla Wandy, która chciwie chwytała wiedzę i w lot ją sobie przyswajała z łatwością i domyślnością zadziwiającą. Wypracowania jej bywały tak pełne poglądów głębokich, że nie jednokrotnie stary profesor zamyślił się nad niemi, zdumiony samorodną siłą, jaka z jej rozumowań tryskała.

Jak E...r z zamiłowaniem kształcił Wandy talent muzyczny, tak znowu profesor P. z prawdziwą przyjemnością pracę swoję poświęcał, ażeby wzbogacić bystry jej umysł i nieznacznie godziny jego wykładom przeznaczone, coraz szerszy program nauki obejmować zaczęły, a że profesor był człowiekiem wielostronnie i głęboko uczonym, nie spostrzegł się nawet jak idąc za szybkim postępem umysłowego rozwoju Wandy, przekroczył zakres literatury przechodząc w dziedzinę innych nauk ścisłych sięgając filozofii. Stary profesor uniesiony zadziwiającą pojętnością swojej uczennicy, zapomniał nieraz że ma przed sobą młode osiemnastoletnie dziewcze, jak z katedry z właściwą sobie wymową wykładał zdobycze głębokich myślicieli świata. I jedno słowo jego nie padło na marne, Wanda zatrzymywała każde w pamięci; z okiem błyszczącem, zapatrzona w sędziwego nauczyciela, słuchem każdy zwrót jego mowy chwytała łakomie, a na drugi dzień podawała mu na piśmie streszczenie jego wykładu, tak jasno i treściwie napisane, że widocznie nie było rzeczy w całym okresie, którejby bystry jej umysł nie objął. Profesor P. uderzony niezwykłym polotem jej myśli zniewalał ją często do pisania rozbiorów na dany temat i Wanda rzucała na papier myśli tak silne a oryginalne w kwestyach ważnych i głębokich, że stary uczony wyjść z podziwienia nie umiał. Gdyby nie senatorowa, która trzymając się słowa pani Gasztołdowej i uchwyciwszy się jej przyzwolenia, nie wyczerpana była w pomysłach, by co chwila nasunąć jakąś nową sposobność do wyprowadzenia Wandy i Anny na widownią świata i w wir zabaw towarzyskich, to Wanda byłaby całem swem jestestwem utonęła w naukach. Ale i świat i zabawa były także dla niej polem szerokiem do studyów i jechała na bal nitylę dla zabawy ile raczej po naukę. Ludzie, ich charaktery, stosunki, cele, były dla niej niewyczerpanym przedmiotem badań; śledziła każdy odcień usposobień wewnętrznych, słowem uczyła się świata i ludzi, skwapliwie korzystając z każdej ku temu zręczności, niby wódz co zanim działać zacznie, pragnie pole przyszłej walki poznać dokładnie.

Panią Gasztołdową, która od czasu przybycia do Warszawy bacznie śledziła wewnętrzne usposobienie Wandy, nie cieszyła ta nieprawidłowość, wolałaby widzieć w niej wrażenia i uczucia zgodniejsze z wiekiem młodzieńczym, wolałaby nawet lekkomyślniejsze trochę usposobienie, niż to chłodne rozumowanie, którem tchnęło postępowanie i każdy pogląd tak młodej jeszcze dziewicy. Ale Wanda dojrzewała z zadziwiającą szybkością, zdawało się jakby odrazu stanęła w wieku ustalonych już pojęć, nie przechodząc przez wiek młodzieńczy, jego złudzenia i wiarę. Ten krótki jeszcze pobyt w Warszawie, wśród tego innego życia jakiem dotąd w zaciszy żyła, zdawał się raptownie ją pchać naprzód. Anna, która także uważnie a z podziwieniem badała usposobienie towarzyszki lat swoich dziecinnych, nie mogła jej zrozumieć, nie umiała odgadnąć gdzie pierzchały tak niespodzianie dawne Wandy uniesienia, na miejscu których stanęło rozumowanie racyonalne ale chłodne i sztywne; udała się do matki o rozwiązanie tej niezrozumiałej dla siebie zagadki, którą pani Gasztołdowa już była odgadła.

— Gorzko boleję nad tem — mówiła córce, że serce Wandy milczy a głowa tylko działa; entuzyazm jej, jak się okazuje nie płynął z uczuć serdecznych, lecz był wynikiem tylko gry wyobraźni — a biada, stokroć biada kobiecie, której serce zdrętwieje pod tchnieniem zimnego rozumowania! skądże zaczerpnie siły i męstwa do pracy? Skąd jej w dniach smutku i zwątpienia popłynie pociecha, gdy jej miłości i wiary nie stanie?

(*D. c. n.*)

SZKICE
z Ciekawszych miejsc w Niemczech.

Teofila Tarczy.

Eisenach.

(Dokończenie).

Spojrzawszy w dół, pan przedsiębierczy pomyślał sobie jednego razu, ileby korzyści przyniosło panowaniu jego wzniesienie na drewnianych ruinach starego miasta, murów miasta nowego, gdzieby niejako drugą stolicę i drugą fortecę mógł założyć. Myśl i tu także stała się czynem — po upływie bowiem trzech nowych lat jeszcze od wybudowania Wartburga, w dolinie Nissy i Hörsla zjawiły się znowu bramy, ulice i domy, rojąc się ludem, burząc się gwarem, nowemu życiu i nowym przygodom zaczynając służyć za scenę. I tak np. ten sam już Ludwik Salicki, stworzył sobie z nowego miasta i zamku przytułek dla bardzo interesujących miłostek z śliczną Adelaidą, wiarołomną wdową po niejakim pfalcgrafie Fryderyku, którego w namiętnym zapale sam nawet zamordować kazał.

Oto znów bajeczna królowa Anglii, *Reinswig* w legendzie przezywana, obrała sobie za czasów zaraz następcy tegoż księcia, *Ludwika* III. (raczej I. jako Landgafa Turyngii), klasztor mniszek Benedyktynek świeżo w temże mieście wzniesiony, na stałe mieszkanie. Tu wierna żona miała się modlić za duszę męża swojego, która w górze *Hörsel*, przedsionku jakoby czyśćca pokutowała.

Tu następny też władca, *Ludwik* IV. (*żelaznym* od pancerza, który nosił potem zawsze na piersiach, przezwany), dowiedziawszy się razu jednego, że panowie feodalni Turyngii, korzystając z młodości i z niedoświadczenia jego, lud uciemiężają,—kazał ich wprządz do pługa rozebranych prawie do naga, i smagając biczem po grzebietach, zaorał nimi szeroki na dużą przestrzeń pole.

Tu syn jego, sławny w dziejach Turyngii *Ludwik* V-ty, wszedłszy w spór z margrafem Ottonem z Meissem i pokonawszy tego pana, długie lata na zamku Wartburgskim go więził,— co nie przeszkodziło mu wcale za inne snać czyny swoje, otrzymać nazwę *Łagodnego*. i *Pobożnego* nawet, wtedy, gdy najpiękniejszy w Eisenachu kościół Ś-mu Grzegorzowi wystawił.

---

dzeniem naszego zdania o całej tej sprawie—słyszeliśmy bowiem że pozwani dyrektorowie odwołali się od zapadłego przeciwko nim wyroku do Sądu Apelacyjnego, który tę sprawę rozpoznawać będzie w drugiej i ostatniej instancyi. Ponieważ wyrok niezadługo zapewne zapadnie do tego więc czasu odkładamy obszerniejsze sprawozdanie z tego, ze wszech miar ciekawego, procesu.

Na drodze żelaznej warszawsko-wiedeńskiej kursują obecnie pociągi nocne, któremi nader liczni pasażerowie codziennie prawie odbywają podróże. Zdawałoby się że służba kolejowa powinna uwzględnić porę nocną i w razie jeżeli w pociągu nie brak miejsca, nie ściskać jadących w kilku przedziałach, podczas gdy inne wagony idą całkiem próżne. Tymczasem dzieje się całkiem przeciwnie na czem droga żelazna ani jej zarząd nic a nic nie zyskuje a traci publiczność która przecie, ma prawo do jakiej takiej ze strony administracyi kolejowej względności.

Sezon teatrzyków ogródkowych, który miał się zakończyć w dniu 12 b. m. został przedłużony do dnia 1 października. Wszystkie trzy teatrzyki funkcyonujące w Warszawie, a nawet i pragski Antokol cieszyły się względami publiczności i rzeczywistem powodzeniem co zapewne zachęciło dyrektorów do dania w murach naszego grodu jeszcze kilkunastu przedstawień. Publiczność uczęszcza licznie na każde niemal widowisko i tylko niektóre organy naszej prasy, forytujące z początku rzeczone przedstawienia nad ich wartość i zasługę — nagle zmieniły front i nawet donioślejszego znaczenia usiłowania zbywają obecnie lekceważącem milczeniem. Czy postępowanie podobne jest konsekwentnem i czy słusznem jest, aby publiczność cierpiała z powodu nieporozumień redakcyi z przedsiębiercami widowisk—o tem sądu wyrzekać nie chcemy — zdaje się nam jednak, że lepiej byłoby od początku trzymać się zasady sprawiedliwości i nie psuć panów dyrektorów sążnistemi pochwałami bo w tym razie teraz nie byłoby przyszło do nieprzyjemnego zapewne dla stron obu zerwania stosunków. Przedstawienia ogródkowe, dzięki gorącemu poparciu ze strony prasy, zyskały już sobie między nami prawo obywatelstwa i dziś, kiedy już poparcia nie potrzebują, na razie przynajmniej — lekceważą względy tejże samej prasy — be wiedzą, że publiczność potrzebująca już teraz tego rodzaju rozrywki jakiej jej dostarczają, licznie się zgromadzi zarówno na przedstawienie wyższej wartości dramatu lub komedyi jak i na przedstawienie Małego Fausta. Czy jednak wpływ opinii panom dyrektorom uczuć się nie da—to dopiero przyszłość stanowczo pokaże.

Tu następca jego i brat Herman I. miłośnik poezyi i sam dzielny piewca, spraszał do biesiadnego stołu poetów złotego wieku sztuki niemieckiej i nimi otoczony, mieszkańców okolicznych, szmerem harf i lir dźwięcznych, zabawiał...

Lecz zatrzymajmy się na tem właśnie ostatniem poetycznem wspomnieniu, aby powrócić do *Targowego Rynku*, gdzieśmy pozostawili naszego podróżnika. Poezya i *Rynek targowy*!— darujcie czytelnicy,— ale wszystkie rzeczy w świecie w podobny sposób się plączą.

Fizyognomia rynku, o którym mowa, pomimo że ten stanowi najpiękniejszą i najokazalszą część miasta, dozwala jednakże domyślić się zaraz łatwo każdemu, iż darmoby w Eisenachu szukał wspaniałych jakichś i odznaczających się przepychem budowli, które oko jego, po innych miastach Niemiec, nierzadko może zwracały na siebie. Oprócz paru kościołów i paru pałaców, zalecających się także więcej starożytnym stylem architektury, aniżeli wielkością i bogactwem,— oprócz kilku lepszych i gustowniejszych budynków, należących do osób prywatnych bądź też do Rządu,— nie znajdziemy tu nic takiego, coby nam przypominało choć trochę, iż jesteśmy w stolicy jakiegoś tam księstwa lub państewka. Domy, z okalajacemi je ogródkami, w cieniu powiewających poetycznie dokoła lip i topoli, wyglądają jakoś dziwnie sielankowo i podobne są bardziej do zbudowanych na prędce letnich wiejskich mieszkań, aniżeli do stałych domów miast zwyczajnych.

Tak jest—lecz cały ten pozór Eisenachu jest *pozorem* tylko. Przypatrzywszy się bowiem bliżej murom i ulicom, poznamy łatwo, że miejsce gdzie się znajdujemy, zawierać musi w sobie pamiątki, nad przeszłością których warto się zadumać. Tu kawałek szczerbu— tam mur zbyt gruby— tam dziwnego kształtu gzems jakiś, co szyderczo ponad drzwiami wystaje; owdzie znajdziesz jeszcze tablicę zamurowaną w cegły, oznajmiającą ci wyraźnym napisem, że w tym i w tym roku, dnia tego a tego, urodził się tu mąż lub niewiasta, których imiona znasz dobrze z historyi.

Takiem jest Eisenach.

Przypatrzmy się jednak bliżej paru jego osobliwościom.

Najpiękniejszym kościołem miasta, jest, jakeśmy o tem nadmienili już wyżej, kościół Ś-go Grzegorza, zbudowany przez owego Landgrafa *Ludwika Pobożnego* około roku 1180 jeszcze, zatem liczy już dziś sobie blisko 700 lat wieku. Niezła to starość! i zielone topole, co front kościoła tudzież boki jego, niby młodym wieńcem, okalają teraz, nie poradzą nic na nią niestety! Sam dach ten wysoki, schodzący się dwiema ogromnemi pochyłościami najnaiwniej w świecie u szczytu, jakże ją już zdradza niedyskretnie; a cóż mówić o drzwiach wchodowych i o innych rzeczach! W kościele znajdujemy ciekawy nadgrobek, poświęcony niejakiemu Janowi Hilten, członkowi zakonu Jałmużników, który to (nie zakon lecz Hilten), miał powstać kiedyś mocno przeciw nauce i władzy papiezkiej, i w czasie, kiedy jeszcze Luter był małym zaledwie chłopcem, kiedy zatem jeszcze nie marzył nawet o reformie kościoła, miał przepowiedzieć światu przyjście jego, słowami: „w 1517 roku wstanie bohater, który wam mnichom dobrze da się we znaki!“ zaco też wtrącony przez klasztornych braci do więzienia, pełne w niem cierpień życie zakończył. Proroctwo Hiltena, jako też i opis jego losu, znajdujemy wyryte na kamieniu nadgrobka. Kościół Ś-go Grzegorza mieści w murach swoich groby jeszcze kilku książąt Eisenachskich, tudzież grób sławnego luterańskiego teologa, Mikołaja Amsdorfa. O istnieniu tych grobów dają znać napisy, pokrywające gęsto ściany w około ołtarza.

Lecz największą ozdobą budynku są dwa obrazy, niepospolitej artystycznej wartości, z których jeden uroczystość pierwszego przyjęcia komunii według ewangielickiego obrządku, drugi wykład augsburgskiego wyznania wiary, przedstawia.

I otóż wszystko, co oko podróżnika, w kościele tym starożytnym, zwrócić na siebie może.

Starożytniejszym jeszcze jednakże od kościoła Ś-go Grzegorza, jest w Eisenachu inny kościół, Ś-go Mikołaja, dla obejrzenia którego musielibyśmy się cofnąć z rynku gdzie stoimy, o parę set kroków w tył znowu, ku bramie tejże nazwy, przez znaną nam już ulicę i plac Ś-go Karola, gdzie po lewej teraz ręce wzmienionego placu, znajdujemy budowlę z dość wysoką wieżą w stylu bizantyńskim, wyraźnie pokiereszowaną przez ząb czasu a wdzięczącą się do nas niby stara kokietka, choć jej to wcale a wcale nie do twarzy. Sam budynek kościoła nie ma widocznie już pretensyi — przysiadł sobie skromnie jak staruszka-żebraczka pod bramą i o łaskawe spojrzenie prosi; ale zato ta wieża, wieża pyszni się wyraźnie, że po nad miastem czoło swoje wynosi, i dla tego wzrostu właśnie o latach swoich radaby nam kazać zapomnieć.

W istocie jest to jedyna, właściwa wieża w całem mieście. Przechodziła niezłe koleje, jak podanie o tem głosi. Że jednakże miejsca mamy za mało, nie będziemy się nad nią rozwodzić, i pożegnamy również dlatego kościół, któremu na grzbiecie usiadła, powiedziawszy tylko, iż stanowił on niegdyś jednę całość z najbogatszym w Niemczech a może i najstarożytniejszym klasztorem mniszek Ś-tej Katarzyny, którego członkami mogły być tylko córy rzetelnie szlacheckiego pochodzenia i który też przez to w taką urósł powagę, iż zakonnice jego miały prawo pisać się na officyalnych papierach: „My z Bożej łaski!“

Po owym klastorze nie zostało się dziś i śladu nawet.

Vanitas vanitatum!

Z świeckich budowli, które bardziej od innych uderzają oko, godnym jest najsamprzód wzmianki, wielki dom książęcy, *zamkiem* nazywany, ze swoim długim, imponującym frontonem, z wysokim, szyfrowym dachem, oraz altaną na podobieństwo pawilonu po nad szczytem jego wzniesioną. Zamek ten, nie odznaczający się wielką starożytnością, albowiem niecałe jeszcze półtora wieku stoi, zasługuje zresztą na uwagę, że miejsce niedawnego, bo w 1848 r., pobytu księżnej Heleny Orleańskiej która wraz z obydwoma swymi synami, hrabią Paryża i księciem de Chartres, po swojem wygnaniu z Francyi, kilka miesięcy w murach jego przemieszkała, zapisawszy się do liczby obywateli Eisenachu i uzyskawszy, jako już taka, bezpieczny zupełnie od panującego księcia przytułek.

Drugim świeckim budynkiem, stanowiącym także jednę z największych ozdób miasta, jest ratusz, wzniesiony jeszcze w 1640 roku. Zajmuje on południową stronę tego samego *Targowego placu*, gdzie się znajdujemy, i ze smagłą wieżyczką swoją dość nawet imponująco wygląda. Jako *curiosum*, pokazują w nim plan starożytny miasta, ozdobiony figurami i zapisany rymami w rodzaju naszych częstochowskich, które mogą dzisiejszym czasom za niezłe posłużyć świadectwo, czem była sztuka i poezya religijno-kościelna w Niemczech w 1663 roku po Chrystusie!

Z innych budynków nasuwających nam wspomnienie po przeszłości lub też bijących w oko wiekszą okazałością swoją, godnym jest uwagi pałac dawnych Landgrafów Turyngii, który podobno miał im służyć za rezydencyą, ilekroć z wysokich murów Wartburga schodzili do miasta, aby w murach jego czas jakiś przebyć.

Poza tym pałacem widzimy domek skromny, będący dziś prywatną czyjąś własnością

Niedawno opuścił prasę drukarską *Warszawski rocznik adresowy* firm handlowych, przemysłowych i rękodzielnych z dodaniem kalendarza i wiadomości pożytecznych. Rocznik ten wyszedł pod redakcyą pp. Rafalskiego i Jakubowicza a czcionkami drukarni S. Burzyńskiego. Jestto wydawnictwo na rok bieżący znacznie spóźnione i jak to zwykle bywa przy początkach, które zawsze prawie są trudne i ciężkie nie bez pewnych wad i niedostatków. Sam jednak pomysł jest dobry i praktyczny i jeżeli wydawcy dotrzymają obietnicy uczynionej w przedmowie i w roku następnym pomieszczą to wszystko czego braknie pierwszej ich książce — to wydawnictwo ich może się stać rzeczywiście pożytecznym przewodnikiem adresowym dla wszystkich mających jakiekolwiek stosunki z firmami handlowemi lub przemysłowemi. W każdym razie życzymy pp. Rafalskiemu i Jakubowiczowi powodzenia a jesteśmy przekonani, że będą umieli skorzystać z doświadczenia i potrafią na rok przyszły uczynić swoję książkę tem czem są wychodzące zagranicą przewodniki tego rodzaju i czem rocznik adresowy w rzeczywistości być powinien jeżeli ma odpowiadać swojemu celowi.

W numerze 35 *Izraelity* z dnia 3 września r. b. znajdujemy obszerną odpowiedź na pomieszczony w naszem piśmie (Nr. 47) artykuł p. n. *Przyczynek do kwestyi żydowskiej*. Redakcya *Izraelity* żąda od nas powtórzenia *calego* jej artykułu—czego jednak, z powodu, że zbyt późno doszedł rąk naszych w dzisiejszym numerze *Ogniska* uczynić już nie jesteśmy w możności. Nie odbiegamy jednak wcale od tego, żebyśmy w przyszłym tygodniu nie mieli przytoczyć ważniajszych punktów z obrony młodego pokolenia żydów, pomieszczonej w *Izraelicie*. Uczynimy to tym chętniej, że artykuł nasz nie tchnął żadną stronniczą dążnością i jeśli wywołał tak gorącą replikę ze strony obżałowanych, to widocznie dotknął kwestyi ważnej i traktował ją w sposób nie zupełnie z prawdą niezgodny.

— Że Pułtusk pogorzał, to już dziś należy do rzędu tak świeżych wiadomości jak i ta że królowa Bona umarła, ale nie każdemu może wiadomo, że ocalał w nim kościołek, w którym się mieści galerya obrazów książąt sieluńskich następnie pułtuskimi przezwanych, dotąd przez żadne z naszych pism ilustrowanych niespożytkowana. Prawda, że na reprodukcyą pojedynczych konterfektów tych niegdyś królików dawnej Rzeczypospolitej, byłoby obecnie szkoda czasu i atłasu, ale całość stanowi obfity materyał dla badacza historycznych zabytków i dostarcza wiele studyów dla malarza. To ugrupowanie pojedynczych portretów w jednę systematyczną całość najwymowniej przedstawia jak koleją wieków zmieniał się u nas typ duchowieństwa. Z początku samego twa-

a należący kiedyś do zakonu krzyżaków, o czem płaskorzeźba iście oryginalna, wraz z napisem znajdującym się pod nią, uwiadamia przechodnia.

W tym to domku miał mieszkać, uczęszczając do znajdującego się teraz jeszcze na temże samem miejscu gimnazyum, Marcin Luter, wraz ze znaną w historyi reformacyi, protektorką swoją, panią Cotta.

Nie wiedziała biedna wdowa, że dzieląc się chlebem z chłopcem, który żebraniną zarabiał na życie, zyska sobie sławę i do tego taką, iż mieszkanie jej kiedyś będą Niemcy pokazywać jak relikwią.

Z podobnych względów godzien jest także uwagi inny jeszcze dom w Eisenachu. Stoi on niedaleko od drogi do tak zwanej doliny Maryi, Marienthal'u, i niepokaźną powierzchownością swoją zdaje się mówić do przechodnia: „Idź sobie daléj dokąd ci potrzeba. Nie mam nic w sobie, coby cię zajęło lub zaciekawiło, choć stary jestem"! Lecz marmurowa tablica wbita w jednę ze ścian jego, uwiadamia nas detalicznie, iż w domku tym 25 marca 1685 roku, ujrzał światło dzienne nieśmiertelny mistrz muzyki niemieckiéj — *Jan Sebastyan Bach.*

Oto i wszystko prawie, co druga stolica księstwa Eisenach-Wejmarskiego, mieści dziś w sobie najgodniejszego uwagi pod względem historycznym i architektonicznym.

Jak widzimy zapas niewielki — i gdyby nie czarowna dookoła panorama z pokrytych gaikami i lasami wzgórz tudzież wąwozów, które z pośród murów miasta, jakkolwiek zamkniętych, w jaką bądź stronę się zwrócimy, wdzięczy się do nas, — gdyby nie przyjemne wrażenie od zieleni tych ogrodów z lip i topoli, które niby oazy na zabrukowanym gruncie ulic, koronami z liści zewsząd ponad domami sterczą,—gotowibyśmy żałować może, żeśmy na bruk Eisenachu wstąpili, i cofnęlibyśmy się może z tego bruku teraz z niechęcią.

Tak jest—lecz jest jeszcze rzecz jedna, któraby nam niepozwoliła zrobić tego, skorośmy raz już zapuścili się do miejsca, zwanego w tem mieście *Placem Targowym.*

Oto—przez Plac ten, na lewo zaraz, poza niewielką bramą zwaną *Bramą Kaznodziei*, wiedzie najprostsza i najlepsza droga na górę, której szczyt wieńczy najdziwniejszy, bo nie chcemy powiedzieć najpiękniejszy ze wszystkich średniowiecznych zamków Europy,— zamek Wartburg.

W najbliższym czasie powiedziemy też do jego wnętrza czytelnika.

Obrzędy religijne dawnych Słowian,

przez

B. M. Poh......

(Dokończenie).

W wielu krajach słowiańskich, długo zachowywane były ślady jakiegoś pogańskiego święta, na cześć umarłych obchodzonego. W Luzacyi, Czechach, w Szlązku i Polsce, dnia 1 marca pospólstwo przed świtem wychodziło z pochodniami na kładowiska i przynosiło ofiary dla umarłych. W dniu tym, Słowianie niemieccy wynosili ze wsi zrobionego ze słomy bałwana, który śmierć wyobrażał, palili go, lub rzucali w rzekę, śpiewając pieśni na pochwałę lata. W Czechach dzieci ciągnąc takiego bałwana, śpiewały:

Giz nesem smrt ze wsy,
Nowe leto do wsy,
Witej leto libezne
Obiliczko zelene. [1])

W Czechach także, dla uspokojenia dusz, stawiano na rozstajnych drogach pewien gatunek amfiteatru i w maskach przedstawiano cienie umarłych poświęcając takowe gry ich pamiątce, co dowodzi uczucia i przywiązania do krewnych i przyjaciół z tego świata zeszłych, oraz dowodzi wierzenia w nieśmiertelność duszy; lubo Dytmar i Kośma Pragski twierdzą, iż Słowianie życie ludzkie doczesnem być uważali [2]).

W ciągu roku święcono różne uroczyste święta na cześć bogów. O obrzędach świąt takowych mało znajdujemy w historykach pewnej wiadomości i więcej ich niemal znajdujemy w zwyczajach między pospólstwem zachowywanych. Z pomiędzy różnych uroczystości, znakomitszemi były następujące: święto *Łady*, boga miłości, zgody i związku małżeńskiego. Oprócz przynoszonej temu bogu ofiary wstępując w związki małżeńskie, do póżnego czasu w Litwie obchodzono jego święto od dnia 25 maja do dnia 25 czerwca. Ojcowie i mężowie w gościńcach, a żony, córki i młodzież na ulicach i po gajach, pobrawszy się za ręce pląsali i śpiewali: Łado, Łado, Dydys Łado! to jest: *Wielki Łado.* Tenże sam zwyczaj dotąd jest w Rosyi zachowywany przez wieśniaków; młodzież i kobiety zgromadzają się na wiosnę i śpiewają chórami *Łada dydy Łada.* Nazwisko Łady dotąd jest wspominane w Mołdawii i na Wołoszczyznie przy nierych obrzędach zwyczajem pogańskim czynionych [1]).

W wigilją Świętego Jan Chrzciciela, to jest dnia 23 czerwca obchodzono święto *Kupały, Sobótkami* n nas zwane. W czasie obchodu tego święta palono wielki ogień, przy którym radośne gry i śpiewy chórami odprawiano.

Ślady obrzędów tego święta pozostają dotąd w różnych okolicach krajów słowiańskich. I u nas w guberniach polskich, włościanie w dzień pomieniony zbierają różne zioła, a najgłówniej: *Łopian pospolity* (Arccium lapa), *Bylicę pospolitą* (Arotimisia vulgaris) i inne, które przynoszą do domów, chowają pod strzechy w izbach i komorach. W ciągu roku używają tych ziół do różnych lekarstw, do kąpieli i t. d. W tymże samym czasie mieszkańcy archangielskiej gubernii, zbierają ziele zwane przez nich *Kupalnica* to jest: *Jaskier ostry* (Renunculus acris), którem wyścielają napalone łaźnie, skąd po wziętej kąpieli, wychodzą kąpać się w rzece. W wielu także guberniach rosyjskich, Świętą Agrypinę nazywają *Kupalnicą* i w dzień jej, tojest 23 czerwca, robią różne igrzyska; nakładają wielki ogień, około którego skacząc i pląsając, śpiewają pieśni na cześć Kupały. Serbowie w wigilją lub w sam dzień świętego Jana, splatają z różnych ziół wianki i zawieszają je na dachach, chlewach i oborach.

Ten starożytny zwyczaj wyraźnym jest dowodem iż *święto Kupały* czyli *Sobótek*, ustanowionem było na cześć słońca, które w tym czasie najwyżéj jest wzniesione, którego promienie od początku wiosny aż do tego czasu, ożywiały wszelkie rośliny; oraz że dzień tego święta przeznaczony był na zbieranie ziół do lekarstw potrzebnych i na dziękowanie bogom za obmyślony, wskazay ludziom sposób do ratowania swojego i bydląt domowych zdrowia za pomocą ziół różnych [2]).

---

[1]) To jest: Już niesiem śmierć ze wsi, nowe lato do wsi. Witaj lato ulubione, witaj zbożko zielone.

[2]) *Slavi*, powiada Dytmar, *qui cum morte temporali, omnia putant finiri.*

[1]) Od nazwiska *Łado*, pochodzi *ładny, ładność*, to jest: *Piękny. Piękność. Zgodność. Harmonia.*

[2]) Jak wielką użyteczuością jest upowszechnienie znania skutków ziół różnych, rozwodzić się nad tem nie ma potrzeby; zwrócimy tylko uwagę, iż znajomość ta starożytnym Słowianom nie mogła być obcą. Sam język i zwyczaje wiejskiego ludu są tego dowodem

---

rze blade, surowe, wycieńczone życiem ascetycznem, zamieniają się w rycerskie postacie z brodami długiemi, marsowatem wejrzeniem, snać że ich dłonie przywykły władać nietylko samym pastorałem, ale w potrzebie zamienić go na oręż. Następnie znikają marsowate oblicza i ukazują się postacie więcej dworskie z brodami modnie podstrzyżonemi, w bogatych jedwabnych szatach, odznaczające się życiem pełnem dostatków i wygody; dalej pojawia się jezuita z układną minką i wygoloną twarzą, a w końcu obojętny automat dający za poruszeniem cudzej ręki machinalne znaki życia. Bogate to pod każdym względem materyały, z których wedle wyrażenia się redakcyjnego *przy pomocy zaolnych rysowników* warto by skorzystały nasze pisma ilustrowane. Czytamy niejednokrotnie odezwy o proste zakumikowanie faktu — i dlatego fakt ten do wiadomości interesowanych redakcyi podajemy w tej nadziei, że potrafią i zechcą z niego skorzystać.

Jesień już się rozpoczęła ze wszystkiemi charakteryzującemi ją cechami i objawami. Mamy więc na przemian dni słotne i pogodne; mamy zimne noce i poranki przy ciepłych i pięknych godzinach południowych; mamy długie wieczory, z którémi często nie wiemy co robić bośmy się do nich jeszcze nie przyzwyczaili, a spędzać ich na świeżem i zbyt nieraz orzeźwiającem powietrzu, w ogródkach nieledwie już niepodobna. Szukać więc musiemy innej rozrywki i skwapliwiej zapewne niż w ciągu lata zaglądać będziemy do książek i dzienników, których kartki w czasie dni goracych pozostawały nieraz nieprzecięte. Oczekujemy już rozrywek odpowiednich obecnej porze roku i pragniemy przeniesienia widowisk i teatrū letniego do stałego, bo nie mamy ochoty chwilowej przyjemności okupywać długą może chorobą, powstałą w skutek przeziębienia, o które w letnim teatrze nie trudno. Spodziewamy się już rychłego rozpoczęcia całego szeregu koncertów wszelkiej nazwy i rodzaju a także mamy zapowiedzianą loteryą fantową w ogrodzie saskim, na którą wiele osób, zwłaszcza świeżo powracających z Włoch i innych *ciepłych krajów* ma podobno zamiar przybyć.... w futrach. Byłby to rzeczywiście widok wcale nowy i oryginalny!

Podsłuchana rozmowa między furmanem radomskiego omnibusu a kandydatką do podróży.

Furman. Imość dobrodzikie chce jechacz do Radomia?

Kandydatka. Tak — ale przedewszystkiem, chciałabym się dowiedzieć jaka też tam droga?

Furman. Droge doskonałe — Imość nie przejdzie więcej z piechotem jak ośm wiorst i zajedziemy na czas do Radomia.

W *Arkonie* w świątyni *Światowida*, z wielką uroczystością obchodzono ukończenie *żniwa*. Kapłan w wigilią tego święta sam zamiatał i czyścił kościół albowiem nikomu prócz niego wejść tam nie było wolno. Nazajutrz w przytomności zgromadzonego ludu płci obojga, przy odprawianych modłach, brał z ręki posągu, róg winem napełniony i przepowiadał obfitość lub nieurodzaj następnego roku; gdy mała część wina była wyschłą, to znaczyło rok obfity, jeżeli zaś znacznie go ubyło, to oznaczało nędzy urodzaj. Potem wylewał wino pod nogi posągu, róg napełniał świeżem winem, i uczyniwszy modły, prosząc Boga, aby błogosławił naród obfitością, bogactwem i zwycięztwem, wypijał takowym sposobem poświęcone wino, jako ofiarę i znowu róg winem napełniwszy, wkładał go w rękę posągu, gdzie tak do roku następnego pozostawał.

W czasie tej uroczystości, przynoszono Światowidowi na ofiarę piróg z miodem upieczony, który był nadzwyczajnej wielkości. Ofiara ta była widocznie godłem podziękowania za obfite Opatrzności dary, godłem prośby aby bóstwo chroniło naród od głodu i nieurodzaju. Po dopełnionych obrzędach religijnych, dzień cały przepędzono na ucztach i zabawach.

Inni Słowianie obchodząc uroczystość żniwa, przynosili swym bogom koguta w ofierze i *święconem na ofiarniku piwem* oblewali swe bydło.

Zdaje się, że przynoszenie w czasie tej uroczystości na ofiarę koguta, musiało oznaczać podziękowanie bogom za obdarzenie ludzi stanu rolniczego tym szacownym ptakiem, który oznajmuje czas i przepowiada odmiany powietrza.

Zaś oblewanie bydła święconem piwem oznaczać musiało prośbę otrzymania błogosławieństwa bogów na te domowe zwierzęta, za pomocą których człowiek otrzymuje chleb i napoje.

Jeżeli ten domysł nie jest mylnym możemy przyznać dawnym Słowianom, iż oni w swych symbolicznych wyobrażeniach, samym nawet Grekom nieustępowali.

Słowianie Ruscy, dnia 24 grudnia, obchodzili święto Ko-Lady, boga zabawy, biesiad i pokoju. Dotąd jeszcze w Rosyi, na Ukrainie i na Wołyniu, w wigilią Bożego-Narodzenia, młodzież, parobcy zbierają się wieczorem, przychodzą pod okna gospodarza i śpiewają różne pieśni na pochwałę jego domu, wspominając często w swych pieśniach nazwisko Ko-Lady, za co otrzmują podarunki *Ko-Ladą* zwane.

W Wagryi, dnie sądów narodowych, gdy starsi w cieniu swych dędów, w mniemanej przytomności swego boga Prowe, rozstrzygali los swoich obywateli, były także dniami uroczystemi i powszechnej radości.

Pozostaje nam teraz zwrócić uwagę łaskawych czytelników, że badania względem bóstw i religijnych obrządków dawnych słowian, nie są tylko samem próżnem zaspokojeniem ciekawości; iż z Mitologii sławiańskiej, ile tę znać możemy, łatwo dostrzegamy że bóstwo i obrzędy słowiańskie miały pewne oznaczone dla dobra ludzkiego przymioty; są one bóstwami groźnemi i zarazem dobroczynnemi, to jest: karcącemi występek, a nagradzającemi cnotę; iż utworzenie to, bóstw, świąt i obrządków okazuje się być ugruntowanem na potrzebach związku towarzyskiego, na uczuciach serca ludzkiego.

Widzimy więc, że chociaż dawni słowianie byli poganami, podobnie jak Grecy, Rzymianie i inne narody, nie byli przeto tak dzikimi jak powszechnie z różnych powodów wystawia ich nam starożytna i teraźniejsza, historya; iż oni szanując swych bogów i ich mniemane przykazania, cenili w najwyższym stopniu ludzkość, gościnność, dobrą wiarę i szanowanie cudzej własności; iż dlatego nazywamy swych ojców dzikiemi, że los nie dozwolił im zostawić dla nas w puściznie takich pism uczonych, jakie nam Grecy i Rzymianie zostawili, lecz za to zostawili oni daleko szacowniejsze dla ludzkości pomniki, to jest: pamięć takich przymiotów, jakiemi inne narody łatwo chlubić się nie mogą przed przyjęciem wiary Chrześciańskiej, która naucza praw jednego i prawdziwego Boga.

Nie masz, wsi a szczególniej w Rosyi, gdzieby nieznano różnych ziół do ratowania zdrowia swego i domowych bydląt. Z zdziwieniem trzeba się samych siebie zapytać, skąd wieśniacy krajów słowiańskich znają skutki *Zopianu* na febry i różne wewnętrzne dolegliwości używanego? Skąd wiedzą iż *bylica* skuteczną jest w różnych chorobach, mianowicie kobiecych? Skąd wiedzą mieszkańcy archangielskiej gubernii o drażliwości i mocy ściągającej *Renunkulu* czyli tak zwanej przez nich *kupalnicy*? Skąd ten lud wiejski ma wiadomość w skutkach tylu innych ziół, których tu wyliczyć nie podobna?

OBRAZKI
wychowania domowego.

(podług notatek Anny z Potockich Nakwaskiej)

zebrane przez **Z. W.**

II.

Pojechałam do pani Kryckiej, kobiety odznaczającej się miłością chrześciańską dla wszystkich biednych, i obdarzonej licznem potomstwem, z tego więc powodu, mając dzieci, najprzeróżniejszego wieku, a nawet i wnuki, była powszechnie uważaną, za arbitralnego sędziego w sprawach wychowania. W obecnej chwili, przedmiotem jej bezustannej pieczołowitości był 10-cio letni chłopczyk Jasio.

Jasio jest blady, watły, nadzwyczaj mały na swój wiek, z oczyma rozumnemi, w których jednak przebija się złość i zarozumiałość. Ubrany w czarną aksamitną kurtkę— i holenderską bieliznę, wygląda zawsze świeżo i strojnie. Dzieci bywające w domu pani Kryckiej nie cierpią go. Największą ich przyjemnością jest, robić straszne oczy, mełemi Jasiowi, czego się on tak lęka, że krzyczy: mamo! Lęka się, nietylko myszy i kotów, ale dużych much, pająków a w końcu i od psów nawet pokojowych, trzyma się w przyzwoitej odległości. Rodzice zwykli byli wszystkim mawiać, że to nerwy i rzeczywiście chłopiec był nerwowym do obrzydliwości. Raz dostał spazmów i konwulsyi, gdyż zdawało mu się, że pożar wybuchnął w domu. Z tem wszystkiem jednak był on dość grzecznym, i posłusznym, rodzice go pieścili i przekładali nad inne dzieci, a tych była znaczna liczba, gdyż coś około tuzina.

Wchodzę do salonu. Pani domu zajęta siatkową robotą. Najstarsza jej córka Anielą, od lat kilku zamężna, haftem. Jeden z przyjaciół domu ciągnie kabałę, drugi coś opowiada. Jasio siedzac na kanapie, przegląda po raz setny album z fotografiami.

— Co za szczęście? Jakim sposobem pani się tu dostała?

— Objeżdżam moich znajomych i uczę się od nich, jak wychowywać dzieci.

— Oto rozumna kobieta. Chwalę za to. Anielko!—pani W. może być dla ciebie wzorem. Jeśli cię Pan Bóg, kiedy pobłogosławi i ześle ci aniołka, postępuj tak jak ona; nie polegaj na samej sobie, ale zasięgaj...

— Zasięgnę, zasięgnę rady nianiek i guwernantek. One się na tem lepiej znają jak ja; a do mnie to wcale nie należy. Tu młoda kobieta się uśmiechnęła.

— Tak nie można mówić Anielko, odrzekła matka. Wychowanie dzieci jest najświętszym obowiąskiem matki. Spodziewam się, że i twój mąż podzieli moje zdanie.

— Mniejsza oto, nie jestem dzieckiem, a mój pan mąż, niech się swemi sprawami zajmuje, a nie mięsza się do tego, co do niego zupełnie nie należy.

Matka spojrzała na córkę surowo. Pauza, spowodowana śmiałą odpowiedzią Anielki, ciężyła całemu towarzystwu; przerwałam ją, robiąc wzmiankę o tem, że zaczęłam naukę od pani K—ej.

— Żartujesz chyba pani, odpowiedziała mi na to gospodyni domu, i czegóż się tam nauczyłaś. Jej Adda, jest najbardziej zepsutem dzieckiem. Wyobraźą sobie, że jest dorosłą, rozmawia swobodnie ze wszystkiemi, ciągle siedzi w salonie... W jej obecności, matka dowcipkuje ze swymi gośćmi opowiadają się najrozmaitsze anegdoty, mniej lub więcej skandaliczne, i to się nazywa wychowaniem? Zmiłuj się pani, cóż to za wybór przyjaciół, wszyscą są albo mon prince albo hrabia, albo baron, a na innych nie posiadających tytułu, Adda patrzy jak na istoty podrzędne, naśladując w tem matkę. Z czasem to będzie zepsuta kobieta! Słyszała pani o jej rozmowach na balach dziecinnych?

— Nie.

— No proszę, mój Jean tak był zdumiony, że przybiegł do mnie prosząc żebym posłuchała o czem rozmawia. Siedzi niedbale na kanapie, a mały baron Nodel, *vous savez*, ten który niedawno przyjechał z Paryża, oparłszy się o konsolę opowiada jej o tamecznej operze, i o Patti — sprzeczają się oboje że Patti jest zanadto zimna na scenie, że jej brak dramatyczności. Czy to słyszane? Żeby Adda była moją córką, postawiłabym ją za to do kąta lub kazała klęczyć. Dziewczynka jest już teraz bardzo zepsutą, cóż to późniéj będzie. Wierzaj mi pani, wszystko to się odezwie w przyszłości *ma parole!*... Mój Jasieczek, chociaż chłopczyk, a bez porównania jest skromniejszym (tu Jasio robi minę niewiniątka).

— Naprzykład siostrzenica pani, przeszłego poniedziałku, *j'espère que vous m'excuserez chère*, ja wszystkim prawdę mówię... do tego pani jeździsz się uczyć! Otóż Kasia, potrzebując poprawić ubranie, zaczęła to robić przy moim Jasiu, biedny chłopczyna ledwie się nie spalił ze wstydu, a Kasia, na to nawet uwagi nie zwróciła. Niańka jej przedstawiała że to nieskromnie, otrzymała jednak odpowiedź: Że wstyd jest kłamać i być niegrzeczną, ale w poprawieniu swego ubrania, nie ma żadnego wstydu.

Wszyscy się roześmieli. Ja też, nie mogłam się wstrzymać od uśmiechu, jeden Jean, zrobił minę zaambarasowaną i unieszczęśliwioną.

— Ale mówiąc o skromności, ciągnęła dalej pani Krycka, opowiem wam anegdotę dość śmieszną którą wczoraj słyszałam od Bondycza. *Je ne mettrai pas les points sur les i...* tu opowiedziała uśmiechając się anegdotę bardzo dwuznaczną. Wszyscy się śmieli. Jasio zgarbiwszy się żeby go nie spostrzeżono, słuchał bardzo uważnie.

Anielka pierwsza, zwróciła na niego uwagę.

— *Maman, et le petit...*

— I cóż tam, on nie rozumie.

— Jednakże....

— Jasiu, *mon enfant*, idź do twego pokoju.

— *Maman*, mnie tam nudno.

— To się zajmij czemkolwiek. Czytaj książkę.

— Jużem wszystkie przeczytał.

— To rysuj, lub zawołaj Doroty, i baw się z nią.

— Mamo ja nie chcę.

— *Jean!* Chłopiec milczał.

— Będziesz ty mnie w końcu słuchał co? Jasio spuściwszy głowę, wyszedł cicho z pokoju.

— Chcąc przerwać milczenie, spowodowane sceną wyżej opisaną, prosiłam panią domu o pokazanie mi swego nowego mieszkania, do którego się od kwartału przeniosła.

Wszedłszy do jej buduaru, ujrzałam młodą osobę, biednie ubraną, która pośpiesznie wstając z krzesła, ucałowała pokilkakrotnie rękę pani Kryckiej.

— Dobrodziejko moja, aniele—wymawiała łkając.

— Ah, to ty Olesiu, bardzo jestem rada, że mogłam ci dopomódz.

Vous m'excuserez-chère? un petit moment!

Stanęłam przy etażerce i zaczęłam rozpatrywać książki.

Z za portyery, posłyszałam odgłos silnego policzka i w ślad za tem głos kobiety.

— A bezwstydnik! a niegodziwiec. Zdawałoby się, że mały, a jak drapie i bije!

— A widzisz jak niespodzianie dostałaś w twarz.

— Poskarżę się!

— Idź, idź, tylko prędzej. Za powrotem, drugi raz dostaniesz.

— Patrzcie go jaki zły. A żebym ja tem samem odpłaciła?

— Nie śmiesz — ja ci tak dam, że swoich nie poznasz. A zresztą, nie zapominaj, kto ty, a kto ja.

— Kto? Zawadyaka. Bijesz nie wiadomo za co. Zły jesteś, że cię z salonu wypędzili.

— Nie wypędzili. Kłamiesz!

— Wypędzili.

— Ej Doroto, milcz! Źle będzie!

W tej chwili pani Krycka szeleszcząc jedwabną suknią weszła do pokoju. Rozmowa za portyezą zcichła.

— Przepraszam cię *ma chère*, ale ta Olesia to moja *protegée*. Serce się kraje, myśląc o nędzy, jaka istnieje w naszem mieście. Mam szczęście należeć do jednego z dobroczynnych towarzystw; jesteśmy nawet *dame patronesse;* to jest pożyteczne dla dzieci, kiedy widzą, że rodzice biednemi się zajmują.

Pani Aniela ukazała się we drzwiach. Mamo! idź prędzej. Baronowa Nodel w salonie, przyjechała z ważnym interesem. Idź Mamo prędzej. Gospodyni rzuciwszy okiem na swą tualetę, wyszła pośpiesznie.

Rozmowa za drzwiami rozpoczęła się na nowo.

— Poczekaj, poczekaj—mówiła staruszka niańka, to ci płazem nie ujdzie. O wszystkiem papie powiem.

— Gadaj, stara czarownico. O żebyś się prędzej udusiła?

— Słyszy pani—rzekła po cichu Anielka, jak braciszek ładnie się wyraża. To taki dyabełek, że mu później rady dać nie będzie można.

— Mama o tem wie?

— Wie, ale uwagi na to nie zwraca. Parę razy, starałam się wspomnieć jej o tem; i cóż, wyłajała mnie i wzbroniła raz na zawsze, wspominać jej o podobnych rzeczach.

— A ojciec?

— On zajęty ciągle. Lękamy się go nudzić skargami; a do tego, on tak postępuje, jak mama rozkaże!

Pani Aniela poprawiła włosy i obie wyszłyśmy do salonu. *Jean* stał przy matce, spokojny i uśmiechnięty. Pani Krycka mówiła baronowej:

— Jaka pani dobra! *Jean*, podziękuj: baronowa tak grzeczna że zaprasza ciebie na drzewko. U niej będzie drzewko dla biednych; ty, Lisi i mała K—ska będziecie rozdawać podarki.

— Dorosłym kawę i cukier. Małym—buciki i zabawki.

Jean ukłonił się. *Merci madame* a dzieci będzie dużo?

— Około 70-ciu licząc razem z rodzicami.

— Ah, *comme Vous êtes bonne, chère baronne!* To się pani tam policzy, w niebie. Mówiąc to pokazała na sufit.

— No nie koniecznie. Pani wie, że towarzystwo, wydało mi 50 rs. na ten cel. Naturalnie, że trzeba będzie dołożyć ze swoich pieniędzy.

— I zapewne nie jednę setkę.

— To już do mnie należy—odrzekła baronowa, uśmiechając się dobrotliwie.

— Naturalnie, trzeba żeby choina była ładną, biedni, powinni ją na długo zachować w pamięci. Nieszczęśliwi, u nich tak mało przyjemności.

— *Vous êtes un ange, baronne!*

— Pani jednak więcej się zajmuje biedniejszymi niż ja.

— *Baronne!*

— Mówię bez żartu. Wszyscy wiedzą że podporą naszego stowarzyszenia, jest pani Krycka, wzorowa matka i prawdziwie pobożna chrześcianka. I tak, *j'ai votre parole?*

— *Avec plaisir.*

— Dowidzenia, *chère madame!*

— Bądź zdrowa, *chère baronne*

Obie damy, uściskawszy się rozstały się jak siostry.

— Nie prawdaż, jaka śliczna kobieta?—zapytała nas Krycka.

— Istotnie, prawdziwa piękność, zauważył jeden z przyjaciół domu;—nawet *Jean* potrafił ją ocenić należycie. Nie spuszczał z niej oczu. Co bracie, widzę że masz gust dobry. Serduszko mocniej zapukało, kiedy cię pogładziła po twarzy, nieprawdaż? Przyznaj się, że się w niej kochasz?

— *George* daj pokój dziecku, nie widzisz jak się czerwieni?

— Po co ma się czerwienić, przecież on nie dziewczyna. Niech się zawczasu nauczy poznawać kobiety pięknie, to mu się kiedyś przyda!

— A ja wam otwarcie powiem, odparła pani Krycka z niechęcią, że baronowa Nodel, wcale mi się nie podoba. Jestem pewna, że jej różowe usteczka są malowane, gdyż kolor ich nie naturalny; potem ciągle przewraca oczyma i kieruje niemi w stronę mężczyzn. To bezwstydnie. Co do tej choinki, którą urządza, wiadomo czyim kosztem. Ani ona, ani mąż, grosza na to nie wydadzą a jeżeli na prawdę wyda coś z pieniędzy przeznaczonych na szpilki, to dlatego żeby lepiej męża oszukać.

— Mamo, wszak to plotki! wtrąciła pani Aniela; nikt tego nie widział, nikt też nie powinien podobnych rzeczy opowiadać. Złe języki potrafią znaleść wadę w najpoczciwszej istocie...

— Milcz kiedy nie rozumiesz, przerwała jej seryo matka, zapytaj Balińskiej. Ona ci lepiej rozpowie o tajemnicach pięknej naszej baronowej.

— Anielka potrafi tylko prawić drugim morały, a sama zapomina że zawsze postępuje na przekorę mamie... odezwał się z kąta Jasio, sam widziałem jakeś się w przeszłym tygodniu pokłóciła z baronową w buduarze mamy, a teraz po co jej stronę trzymasz?

— Dyabełek! Milcz — rozmowa starszych do ciebie wcale nie należy.

— Nie należy? A dlaczego mnie wczoraj za ucho wytargać chciałaś?—tyś sama tego warta!

Nie podobna mi było dłużej słuchać podobnej kłótni, pożegnałam śpiesznie panią Krycką i wyszłam.

Przed domem spotkałam guwernantkę małego Jasia, która wprawdzie nie mieszkała tam, ale na całe dnie przychodziła, dawać mu lekcye i bawić małego pieszczocha.

— Dzień dobry pani, zagadnęłam ją, gdzie pani idzie? Zapewne do Kryckiej.

— O nie, odpowiedziała, noga moja tam więcej nie postania; i to li tylko z powodu *Jean*. Wystaw sobie pani, jak ze mną postępował? Niedalej jak przeszłej niedzieli byli u Kryckich goście i między innemi pani B. o której wiadomo, że się zaleca pani Kryckiej w celu otrzymania dla męża wyższego urzędu. Otóż ponieważ Jasio się nudził i potrzebował towarzysza do zabaw, usłużna pani B. przywiozła z sobą swego siostrzeńca, biednego sierotę, którego z łaski wychowuje. *Jean* bił go i katował, kłuł szpilkami i szczypał; chłopczyk znosił to wszystko cierpliwie, z rozkazu ciotki wytrawnej dyplomatyki, która jak wiadomo dla dopięcia celu, poruszy wszystkie sprężyny. Otóż, czuła ciocia, nie wzdrygała się oddać biednego sierotkę na pastwę okrucieństwu *Jean*. Nie mogłam długo patrzeć na podobne zabawy i zagroziłam mu że go oskarżę przed matką. Nic to jednak nie pomagało, Jean w moich oczach zbiwszy kolegę do krwi, zaprowadził go do salonu. Wszyscy naturalnie zwrócili na to uwagę, widząc spuchniętą i pokrwawioną twarzyczkę biednego sierotki. Ciotka wzrokiem surowym rozkazała mu milczeć; Jasio tulił się do wszystkich dam i dowcipkował. Wywołałam panią Krycką do buduaru i przełożyłam że takiego rodzaju okrucieństwo, zasługuje na jej uwagę.

— *Ma chère amie*, odrzekła mi niedbale, zostawmy rzeczy jak są; nie należy za nadto brać do serca podobnych drobnostek, a zresztą *Jean* jest szlachetnem i łagodnem dzieckiem, nigdy nie uwierzę żeby bez przyczyny bił kogakolwiek! Cóż było robić odeszłam z pokorą do swego pokoju, a w korytarzu Jean spotkawszy mię zakrzyczał: I cóż, stara żebraczko, plotkarko, cóżeś zyskała? Mama ci uwieżyła, nieprawdaż? Do tego kopnął mię nogą i śmiejąc się złośliwie, pobiegł dalej. Pani pojmuje z łatwością, że z powodu takich okoliczności, nie mogłam zostać dłużej w domu pani Kryckiej!

Trudno było nie oddać słuszności biednej nauczycielce, pożegnałam ją śpiesznie i wróciłam do domu.

(*D. c. n.*)

Z DOMU I DLA DOMU.

— **Kwiaty z papieru pergaminowego** stanowią zupełnie nowy wynalazek i przedstawiają tę korzyść, że zwilgocone wodą, a nawet włożone w wodę nie zmieniają się; prócz tego przy potrząsaniu niemi wydają miękki szum, kiedy kwiaty z materyi szeleszczą. Co do ceny, należy nadmienić, że takie kwiaty z papieru pergaminowego są tańsze aniżeli kwiaty z materyi. W skutek tego wynalazku, można będzie wyrabiać sztuczne bukiety bez wielkiego kosztu. (*W—k.*)

— **Drożdże Wiedeńskie.** W okolicach Wiednia i w Morawii wyrabiane drożdże odznaczają się wybornemi przymiotami; nie udzielają pieczywu ani gorzkiego smaku ani też zapachu, jaki ma miejsce przy użyciu zwykłych drożdży piwnych, od domieszek chmielu, a prócz tego o jedną trzecią mniej ich potrzeba aniżeli drożdży piwnych. Podług *Payen'a* drożdże te wyrabiają się bez chmielu z mieszaniny słodu, żyta i kukurydzy. Ziarna te po zgniecieniu i zarobieniu dają zacier, który za dodaniem fermentu poddaje się fermentacyi alkoholnej przez 72 godzin; w tym czasie wytwarza się najpierwej lekka piana, potem pojawiają się drożdże, które spływają na powierzchnię płynu i zbierają się 3—4 razy; na końcu wydobywające się części zostawia się. Ze 100 części użytego ziarna, otrzymuje się 10 części drożdży. (*W—k.*)

* * *

— **Sok pieczarkowy.** Pieczarki niezbyt stare i niezrobaczałe obiera się ze skórki, starannie oczyszcza wycierając serwetką, kraje w cienkie plasterki, posypuje solą, układa w naczyniu kamiennem i szczelnie przykrywa. Codziennie należy pieczarki przełożyć i ugnieść. Po dziewięciu dniach, stawia się całą masę na ogniu, zagotowywa, cedzi przez serwetki i powtórnie przegotowywa z kwiatem muszkatołowym, gwoździkami, pieprzem, bobkowemi liśćmi, następnie cedzi się powtórnie i wlewa do małych flaszeczek, w których po szczelnem zakorkowaniu i zapieczętowaniu lakiem lub żywicą, dla niedopuszczenia przystępu powietrza, przechowuje się do dalszego użytku. Soktaki używa się do sosów, zup i t. p. Niektórzy sok taki odgotowują do konsystencyi syropu i przechowują w małych flakonikach. Sok pieczarkowy uważanym jest jako bardzo zdrowy i wzmacniający żołądek, (*W—k.*)

* * *

O krochmaleniu bielizny. Dobry i delikatny krochmal pszenny rozrabia się z niewielką ilością zimnej wody, poczem przy ciągłem mięszaniu dodaje się wrzącej wody dopóty, dopóki nie utworzy się gęsty klajster, do którego dodaje się zaraz białego szellaku, wosku albo stearyny. Ilości nie można dokładnie oznaczyć, doświadczenie i wprawa wskażą najwłaściwszą miarę. Prawdopodobnie, na $1/2$ funta krochmalu można dodawać 1 łut wosku. Również, dla podniesienia połysku można dodawać czystego tłuszczu wieprzowego wygotowanego w wodzie. Jeżeli chcemy mieć bieliznę bardzo sztywną, to do zimnej wody, jaka ma być użytą do rozprowadzenia krochmalu, należy dodać gumy arabskiej białej. Oprócz gumy, należy także używać jednego z przytoczonych środków. Gotowany krochmal cedzi się przez muszlin, i nasyca się nim dobrze wypraną bieliznę, szczególniej kołnierze, mankiety i t. p. kładzie się w klajster, jak można najgorętszy, uciera się w rękach jak przy praniu, dopóty, dopóki krochmal dokładnie nie przeniknie całej tkaniny. Bardzo ważnem jest, aby czynność ta dokonaną była starannie; czem lepiej wtarty będzie krochmal tem łatwiejsze okaże się prasowanie. Następnie kładzie się bieliznę pomiędzy dwa suche płaty (maglownikí) i magluje się, potem prasując na desce powleczonej flanelą i gęstem płótnem, pociera się miękkę szmatką od strony lewej ku prawej, ażeby rozdzielić tworzące się grupki krochmalu. Kołnierze i t. p. prasują się gorącem, ciężkiem żelazkiem najpierwej z prawej, później z lewej strony, mocno naciskając. Przedmioty innego rodzaju, po takim wyprasowaniu, fasonują się małem żelazkiem. Zręczność i wprawa są tu koniecznym warunkiem. Dla uniknięcia przytrafiającego się przylepiania do żelazka, można przeciągnąć gorącem żelazkiem po wosku i wytrzeć szmatką zanurzoną w soli.

(Ackerm. ill. Gwbztg).

* * *

Uprawa karczochów. Jakkolwiek ojczyzną tej rośliny jest południowa Europa, mianowicie Sycylia, udaje się także i w naszym klimacie i dostarcza bardzo smacznego pożywienia i cenionego na stołach. Łodyga wyrasta często do 6 stóp wysokości i przedstawia na końcach gałęzi wielkie główki kwiatowe niebieskiego lub czerwonego koloru, kielich tych główek przy podstawie jest bardzo mięsisty, dachówkowatymi łuskami opatrzony. Liście tej rośliny podobnej do ostu, są piórkowate, nacinane, koloru czarno-zielonego, często pilśniowate. Roślinę tę z tego powodu uprawia się czasami dla ozdoby ogrodów. Na warzywo najwłaściwsze są karczochy czerwone angielskie czyli kuliste. Nasienie w klimacie naszem rzadko dojrzewa i dlatego rozmnażanie uskutecznia się przez wypustki z korzenia. W tym celu spulchnia się ziemię w około starych roślin, pozostawia się dwa najlepsze pędy, resztę wycina się tak, aby przy nich znajdowała się jakaś część korzenia. Pędy takie flancują się w grzędy, na ziemi dobrze umierzwionej i głęboko zregulowanej, z odległości 2—3 stóp. W razie potrzeby należy obficie podlewać i strzedz tak od zbytniego działania promieni słonecznych jako też od przymrozków nocnych. Rośliny muszą być przy flancowaniu umieszczone tak głęboko jak znajdowały się poprzednio przed oddzieleniem od krza macierzystego. Kierz macierzysty po odłączeniu od niego pędów bocznych, należy obsypać, ażeby wszystkie obrażenia przykryte były ziemią. W pierwszym roku nie ma nic więcej do roboty z nowemi flancami, prócz pielenia i spulchniania ziemi. Skoro na głównym pędzie okażą się główki kwiatowe, wtedy na pędach bocznych obrzyna się małe główki, i hoduje się tylko jeden owoc. Kwiecie nie powinno się rozwinąć, i dlatego pierwej powinna być główka odcięta do użytku jak tylko łuski rozszerzą się i w czubku głowy pokaże się kolor żółty. Główki jakie niezastaną zaraz użyte na pokarm przechowuje się w piwnicach w piasku wilgotnym, albo stawia się w naczynie z zimną wodą. Po zdjęciu główki z rośliny przycina się cały kierz, aż do korzenia, a nawet tak samo postępuje się z temi wszystkiemi, które nie wydały dojrzałych główek do listopada. Jak tylko nadejdą mrozy przykrywa się każdą roślinę ziemią na $1\frac{1}{2}$ stopy, liściem, gałęziami, i to wszystko ubija się popruszając cokolwiek ziemi. W czasie zbyt silnych mrozów można przykryć gnojem, ale w czasie odwilży należy takowy usunąć, w przeciwnym razie rośliny byłyby narażone na gnicie. Na wiosnę, kiedy już nie ma obawy przymrozków, zgarnia się ziemię z karczochów, odcina wszelkie pędy, dwa tylko pozostawiając, nawet wtenczas gdy nie ma zamiaru dalszego rozmnażania, i ziemię spulchnia się w około krzewu dostatecznie. Około Ś-go Jana, odejmuje się takie boczne pędy, pozostawia tylko cztery, resztę można użyć także na rozmnożenie w sposób powyżej podany. Dla otrzymania dobrego i silnego zbioru, należy każdą grzędę, w jesieni dobrze umierzwić korwim obornikiem, dobrze przegniłym, ziemię potem wzruszać, niedotykając samej rośliny. Zbiór karczochów trwa 5 — 6 lat, należy wszakże co rok uzupełniać je aby nie było przerwy w zbiorach. Hodowanie z nasienia, jakie nabyć można w składach nasion, dokonywa się w doniczkach albo inspektach, wysiewając w lutym lub marcu, przesadza się w grzędy w maju. Nasienie powinno być grube i okrągłe. Kiełkuje do lat 5. (*W—k.*)

ROZMAITOŚCI.

Luźne notatki z podróży odbywanych po kraju

przez

J. L. Kaczkowskiego.

— Rozliczne rzeczki i strumienie skrapiające obficie kraj cały, nietylko niespożytkowane umiejętnie, ale co gorsza zupełnie zaniedbane, przy wiosennych roztopach lub obfitszych i nawalnych deszczach występują szeroko z swych łożysk, a rozlewając się w nizinach i wklęsłościach nie mając odpowiedniego odpływu, zamieniają się w bezużyteczne błota, z których letnią porą powstają szkodliwe dla ludzi i zwierząt miazmata. Największe obszary błot znajdują się w północnych okolicach kraju, ważniejsze z tych są: *Ożerelis* rozciągające się na 2700 morgów w lasach Pilwiszki, *Pale* w pobliżu jeziora Amalwa, pod wsią Lausze w dobrach Kidula, około wsi Dobila znajduje się bagno rozległe około 50 morgów, pod wsią Auksztoje przestrzeń błotnista ma także rozległości około 50 morgów. Wogóle bagna wszelkie powstają w nizinach na gruntach z podłożem nieprzepuszczalnem a oszuszyć je najwłaściwiej za pomocą sztorcowych drenów.

— Znakomite obszary przestrzeni piaszczystych bezroślinnych są w okolicach Olkusza, Wielunia, Ostrołęki, Nowogrodu, Łomży. Profesor Jastrzębowski na wezwanie b. Komisji Skarbu w ciągu lat jedenastu licząc od roku 1859 zadrzewił wspólnie z swym pomocnikiem p. Holakim i z praktykantami leśnymi pustynię w leśnictwie Brok zwaną Czerwonym borem gdzie wypielęgnował krocie sztuk sosen, modrzewiów, dębów, brzóz i innych. Wydmy piaszczyste powstają skutkiem nieoględnego wycięcia lasów na zbyt suchych i sypkich piaskach bez jednoczesnego ich zagajenia, skutkiem czego następuje z czasem zniszczenie okrywającej je warstewki rodzajnej i następne roznoszenie piasków przez wiatry, któremi daleko sąsiednie przestrzenie na znaczną grubość zasypują i z urodzajnych zamieniają w nieużytki.

— Nagich skał przestrzenie widzimy w okolicach Kielc, Lelowa, Żarek, Janowa Olkusza.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57. Дозволено Цензурою, Варшава 3 (15) Сентября 1875 г. Wydawca i Redaktor, Bronisław Przyrembel.

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 49).

— Nie chciałabym przedstawiać historycznej postaci, powiedziała; wolałabym obrać i dokładnie naśladować jaki dawny włoski strój, podług weneckich portretów.

— Dama w karmazynowym ubraniu, przez Bordona, w Narodowej Galeryi, naprzykład, powiedział p. Hardwicke.

— Nie, przypominam sobie portret w Genui damy w sukni z materyi białej ze złotem, z perłami we włosach, i z wachlarzem z pawich piór w ręku.

— To zdaje się ślicznem, powiedział Lord Stockbridge, ale czy możesz pani zaufać swojej pamięci co do szczegółów.

— Nie, musiałabym mieć rysunek, lub fotografię kolorowaną. Jest na to dość czasu, bo bal nie będzie jak za sześć tygodni.

— Czy mam się po to udać do Genui?

Panna Hardwicke uśmiechnęła się niedowierzająco.

— Cobyś zrobił milordzie, gdybym powiedziała tak.

— Wyjechałbym dziś wieczór.

— Co za rycerz! Ale nie bój się milordzie, nie wystawię twej godności na tak ciężką próbę. Znam artystę w Turynie, który chętnie pojedzie do Genui i za dwa tygodnie będę miała rysunek.

Nie mogli się potem zgodzić co do autora tego obrazu; p. Hardwicke utrzymywał że był nim Tintoretto, a panna Hardwicke była zdania że Paweł Veronese. Nareszcie postanowiła odwołać się do swego dziennika podróży i poszła po niego, Lord Stockbridge wstał żeby jej drzwi otworzyć, i kiedy wyszła, stał jeszcze chwilę patrząc za nią, potem westchnął głęboko, powrócił na środek pokoju i kładąc poufale rękę na ramieniu pana Hardwicke, rzekł:

— Na prawdę, Hardwicke, nie mogę wyrazić jak admiruję twoją siostrę. Nigdy w życiu kobieta tak mi się nie podobała.

— To bardzo wiele, milordzie, powiedział p. Hardwicke schylając głowę.

— Nie więcej niż myślę, nie tyle nawet co myślę, mój kochany.

— Ale znając bezwątpienia wszystkie najpiękniejsze kobiety w Europie.....

— Nigdy żadnej nie widziałem któraby godną była być z nią porównaną, przerwał Lord Stockbridge z naciskiem. Zresztą, nie mówię tylko o jej piękności, ale co za postawa, co za godność!

— Wiele osób znajduje moję siostrę zanadto wyniosłą powiedział p. Hardwicke.

— To właśnie jest co mi się w niej podoba, ta duma; jestto kobieta, która by była mogła się urodzić na tronie! ale nie mam prawa mówić ci takich rzeczy Hardwicke.

— Bardzo to schlebia moim uczuciom, milordzie, rzekł kupiec, drugi raz się kłaniając.

— Nie jestto wcale przyzwoitem, ale nie można czasem wstrzymać się od powiedzenia tego co się myśli.

W tej chwili panna Hardwicke powróciła.

— Cóż czy Tintoretto, czy Paweł Verones? zapytał jej brat.

— Ani jeden ani drugi, odpowiedziała, tylko Palma Vecchio.

Zaczęli rozmawiać o malarzach, obrazach, zagranicznych galeryach, dopóki Lord Stockbridge nie powstał, zaręczając, że nie miał wyobrażenia żeby tak późno już było.

— Czy nie pozostaniesz z nami na obiedzie milordzie? powiedział kupiec.

— Dziękuję, żałuję że nie mogę, ale już komuś obiecałem. Racz pani pamiętać, że jestem najposłuszniejszym z twoich sług, i że gotów jestem w każdej chwili udać się do Genui czy do Timbktu, na twój rozkaz. Mój drogi Hardwicke, nie fatyguj że się zemną na dół!

Ale p. Hardwicke naturalnie nie zważał na te słowa i odprowadził swojego gościa do sieni. Potem powróciwszy do salonu, zamknął za sobą drzwi i z pewną tajemniczością rzekł:

— Klaudyo, wierz mi, nie myliłem się w tem co dopiero ci mówiłem.

— Ale jestem pewna że się mylisz, odpowiedziała panna Hardwicke; nie tylko zapisałam go w moim dzienniku jako Palma Vecchio, ale nawet podkreśliłam to miejsce w katalogu. Patrz: *Numer dwieście dwadzieścia, portret damy—Palma Vecchio.*

— Ale ja nie mówię o obrazie, powiedział p. Hardwicke, ale o Lordzie Stockbridge.

— O Lordzie Stockbridge? Dosyć już dzisiaj nacieszyliśmy się Lordem Stockbridge.

— Korona jego leży u twoich stóp, Klaudyo, gdybyś tylko chciała po nią się schylić.

Panna Hardwicke, zatopiona w swoim dzienniku, nic nie odpowiedziała.

— Uwielbienie jego dla ciebie nie ma granic, ciągnął dalej kupiec; powiedział mi, że nigdy nikt w życiu tak mu się nie podobał.

Panna Hardwicke spojrzała na zegarek.

— Czas już iść się ubrać, powiedziała wstając. Bardzo jestem rada że nikogo nie będzie na obiedzie. A ty?

— Byłbym szczęśliwym gdyby Lord Stockbridge raczył z nami pozostać, odrzekł kupiec.

Panna Hardwicke zmarszczyła czoło.

— Zrób mi tę przyjemność, powiedziała do brata, i nie mów z taką uniżonością o tym człowieku; nie jesteś jego lokajem i bądź łaskaw nie wspominać już dzisiaj o Lordzie Stockbridge.

To powiedziawszy, wyszła zostawiając pana Hardwicke skarconego i zmięszanego.

KONIEC TOMU 1-go.

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

Powieść

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

ROZDZIAŁ I.

Senator Shirlej żegna wyjeżdżającego gościa.

De Benham mógł być zadowolonym ze swego kupna. Zakupił dwa tysiące pak najlepszej bawełny po pięć centów amerykańskich, czyli po dwa pensy i pół angielskie za funt. Zwyczajna paka amerykańska zawiera cztery tysiące osiemdziesiąt funtów bawełny, jego dwa tysiące pak przedstawiały więc blisko dziewięć kroć sto sześćdziesiąt tysięcy funtów surowego towaru, kosztujących okrągłemi liczbami dwadzieścia cztery tysiące dolarów amerykańskich, lub blisko pięć tysięcy funtów szterlingów. Ta bawełna, jak wiedział, była już w Liwerpool warta szylinga za funt, i codzień wartość jej wzrastała. Gdyby odrazu ją wyprzedano wydałaby czystego zysku sześćdziesiąt siedem tysięcy funtów ale według przekonania De Benhama trzeba się było oprzeć tej pokusie. P. Hardwicke miałby z pewnością ochotę wszystkiego odrazu się pozbyć i Tymoteusz Knolt z niemniejszą pewnością namawiałby go do tego; ale De Benham miał nadzieję, że wpływ jego na pana Hardwicke będzie dość silnym, żeby mu natchnąć śmielsze postępowanie. Doświadczenie jakiego nabył w tak krótkim czasie, uczyło go że wojna długo potrwa, może przez całe lata. Znał potęgę i ogromne zapasy Północy, miał przed oczyma szalony zapał Południa, widział, że już wszelka iskra miłości, braterskiej zagasła pomiędzy wojującemi stronami i że się nienawidzieli jak tylko bracia śmiertelnie poróżnieni mogą się nienawidzieć. Niepodobieństwem było żeby koniec wojny rychło nastąpił czas zgody lub nawet układów niepowrotnie minął. Chcieli i musieli walczyć, a walka kiedy się toczy nie pomiędzy dwoma wojskami, ale pomiędzy dwoma uzbrojonemi narodami, długą być musi.

Musiał przyjść czas, w którym amerykańskiej bawełny wcale nie będzie można dostać, a jeżeli ceny tak były wysokie, kiedy zapasy bynajmniej nie były wyczerpane, czegoż się wtedy nie można było spodziewać? W ciągu tej pamiętnej rozmowy, kiedy przedstawiał panu Hardwicke swoje zamiary, przepowiedział że bawełna mogła dojść do dwóch szylingów i pół za funt, ale teraz zdawało mu się że mogła pójść jeszcze wyżej wznieść się do podwójnej ceny. Kto mógł przewidzieć?

Były to tylko jednak szalone myśli, według których nie było można działać i o których mówić nawet nie było wolno. Niechby tylko bawełna podniosła się do dwóch szylingów i pół, a nawet do dwóch szylingów i cwierć, nie życzyłby sam dłużej czekać. Wyrachował wtedy że sprzedane po dwa szylingi i trzy pensy za funt, te dwa tysiące pak uczynią 108,000 funtów szterlingów i że gdy z tej sumy odtrąci cenę kosztu w Charleston, to jest pięć tysięcy funtów, pozostanie 103,000 funtów na wydatki i zyski.

Oprócz tego miał zamiar przedzierać się jeszcze przez blokadę i to nie raz, ale dwa, trzy razy, i nawet więcej, dopókiby mu szczęście służyło i p. Hardwicke chciał mu zawierzyć. Zamiast dwóch tysięcy pak, można ich było mieć cztery, sześć, dziesięć tysięcy i zyski mogły być pomnożone do nieskończoności. Na tym jednym ładunku przywiezionym przez niego, zarobiono już 87,000 funtów, licząc okrągło 80 tysięcy i drugie tyle za wywiezioną bawełnę, czemu nie mógłby odbyć pięć takich podróży i dojść do 400,000 funtów.

Były to śmiałe zamysły, ale jeszcze śmielsze marzenie ukrywało się w najciemniejszym zakątku tego czynnego umysłu, marzenie nad którem nie pozwalał mu się zatrzymywać, ale które, gdyby wyraził je słowami, przemieniłoby się w następny zamiar.

Część jemu się należąca dochodziła już do 13,000 funtów szterlingów, i można było się rozsądnie spodziewać, że kiedy drugi raz przyjedzie do Charleston z podobnym ładunkiem, tak samo go sprzeda. Chociażby więc obydwa transporty bawełny nie zostały zaraz sprzedane, posiadałby jednak, po ukończeniu drugiej podróży 26,000 funtów. Dlaczegożby nie mógł za te 26,000 funtów zakupić małego statku naładować go własnemi towarami i na swój wyłączny zysk przedsiewziąć podobnej wyprawy? Gdyby ich pięć zrobił na rachunek pana Hardwicke i za pieniądze pana Hardwicke doprowadzając zyski do 800,000 f., jego część, to jest piętnasty procent, uczyniłaby tylko 120,000 funtów, a ze swoim statkiem i swoim ładunkiem mógł, dla siebie samego zarobić trzy lub cztery kroć sto tysięcy.

Wprawdzie, niebezpieczeństwo schwytania istniało zawsze i to pociągało za sobą skonfiskowanie okrętu i ładunku i kilkotygodniowe więzienie w Nowym Yorku dla całej załogi. Ten smutny los mógł się stać udziałem *Ptaka Burzy* za tą pierwszą wyprawą, w powrocie do Nassau i wtedy.... Ach! wtedy wszystko byłoby skończonem i na nowo trzebaby zacząć od pierwszego szczebla. Wiele razy myśli jego zwracały się w tę stronę, De Benham gorzko się uśmiechał, i mówił sobie, że był podobnym do tego piątego brata cyrulika w znanem opowiadaniu z tysiąca i jednej nocy, budującego pałac, żeniącego się z piękną księżniczką i opierającego te świetne nadzieje na tacy okrytej kryształami, którą w tej samej chwili upuścił, tłukąc na drobne kawałki podstawę swych marzeń.

Tymczasem, koniecznem było dla dwóch powodów, żeby zakupiony towar został jak najprędzej naładowany na okręt, naprzód dla tego że przypływ morza, z którego trzeba było korzystać, żeby przepłynąć wał, miał teraz miejsce w nocy, a po drugie dlatego, że muwiono o wyprawieniu z Nowego Yorku nowych blokujących okrętów. De Benham przyspieszał więc robotę, nastawał na natychmiastową dostawę bawełny, najął gromadę *stevedorów*, czyli robotników trudniących się ładowaniem bawełny na statki i był gotów do odjazdu w daleko krótszym czasie, niż było można się spodziewać.

Nadzwyczajnemi były zręczność i szybkość z jakiemi ci stevedory układali wielkie paki pawełny, już zbite, za pomocą ciśnienia hydraulicznego w masę, posiadającą scisłość marmuru. Napełnili naprzód naturalnie dno okrętu, układając paki w kierunku długości jego, tak regularnie i dokładnie jak gdyby każda paka była bryłą granitu w ręku budowniczego; tak przykryli całe dno, zostawiając tylko próżne miejsca pod otworami prowadzącemi na pokład.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.

Дозволено Цензурою, Варшава 2 (14) Сентября 1875 г.